

Witold Frątczak „MÓJ CZAS”

Pyk, pyk. Pyk...

Coś rośnie. Kolejne chlup zamyka w błonie kroplę płynu, powiększa zanurzoną w ciemnej cieczy bryłę. Każda nowa kropelka zawiera dane. Jeszcze nie ma ich kto odczytać, ale są.

Coś wyłazi z oceanu. Najpierw skrętami brzucha, po chwili na wypustkach i koślawych, ale już łapach. Jęzor zaczyna łapać to latające. Idzie ewolucja. Skrótem.

Puszkę nad jęzorem wypełnia rosnąca galareta. Tarcie przerzuca elektrony, jest impuls. Pojawia się ucisk i światło. Powstające komórki wnoszą obrazy łądu, nieba i sięgających błękitu zielonych (kolory!) paproci. Mózg rośnie. Dane napływają.

Są zęby. Można je zaciskać na pierwszym dogonionym mięsie. Smak! Uciekające mięso tupie i szeleści. Dźwięk! Łapy bolą i mogą już chwycić. Trzeba odpocząć. Przychodzi sen.

Rozmowa. Nie szum, plusk, ale porządnie wycięte z tła... Słowa? Są z zewnątrz. Więc jest i wewnątrz. Mówią inni. Czyli tu... jestem ja! Nogi kopią coś miękkiego. „Rusza się!”

Jest ich kilka. To więcej niż jeden. Liczę? Dalsze, głębokie buczenie to tata. To dudniące blisko – mama. Jest trzecie – babcia. Tej nie lubię. Czwarte – telefon. Kto to jest Francesco?

Mam na imię Erwin. Tata opowiadał o pradziadku, co smażył jajka na pokrywie gąsienicy czołgu. I miejscu zwanym Norynberga. Podobno wystarczyło udowodnić, że było się żołnierzem Rommla (też Erwin), żeby zwolnili człowieka (jestem człowiekiem!) do domu. Resztę pytali dalej.

Umiem wachać! Singiel mnie nauczył. To pies. Duży, ciężki, rudy, włochaty, ciepły i mądry. Trącił mnie nosem i wywachałem tatę! Wiem jak wygląda i gdzie stoi. Singiel wyzapaszył mi ogród, sąsiadów, zacinając się kłamkę w drzwiach tarasu! „Głupie bydlę! Wynocha!” – babcia. Widzę uśmiech Singla, gdy wychodzi merdnąwszy ogonem. Nie lubię baby!

Tata nie lubi Tokarczuk. Nie dlatego, że źle pisze, bo pisze dobrze. Wkurzają go chóralne (?) zachwyty nad Noblem. Tata uważa, że od czasu przyznania pokojowego Nobla Obamie, każdy nominowany powinien przemyśleć oddanie go biednym. Nazywa to deprecjacją. A ja to znam!

Dzwonił Francesco. Nie bardzo rozumiem jak mógł pomylić dziurki i co powie tata, jak mnie zobaczy.

– No i co zrobisz? Przecież to szatyn, do tego ciemny jak Włoch. – Babcia.

– Nie chcę o tym teraz myśleć. Nawet dobre to wino... – Ale mi lekko!

Tato przeczytał mamie na głos kawałek „Prawieku”. Ten o Kłosce. Chyba już wiem, o co chodzi z zamianą dziurek. Mamusię ścisnęło tak, że aż mi duszno! Wyluzuj kobieto!

Babcia wyszła. Wpadł Singiel. Przyniósł mi obrazy. Był w sklepie! I obejrzał mi łazienkę. Ale cuda! Czuł, że sprawia mi radość. Aż tańczył, jak ją zwąchał! „Wywal bydlaka!”. Tata niechętnie otworzył drzwi i czekał, aż się ze mną pożegna. Singiel tak się nazywa, bo tata ocalił go jednego z całego miotu Watry, która urodziła (to nowe!) osiem szczeniąt na trzydziestostopniowym mrozie. I Singiel o tym wie. I pamięta!

Poznałem Funię! Musiałem się trochę posunąć (coraz mniej mam jak), kiedy pierwszy raz się na mnie położyła. To kot. Żeński. Singiel ją dla mnie wywachał dawno, ale pierwszy raz mruczała mi w stopy. Funia właściwie nie wie, kim jest, bo tato nazywa ją Moćka. Jak wszystkie koty w jego rodzinie. A było ich! Tata jest stary. I strasznie się męczy z tym „Prawiekiem”. Aż mi go żal.

Tata czyta dalej. Poznałem Misię. Chodził z nią wokół stołu. A właściwie z jej młynkiem i zamkniętą w nim ideą mielenia. Ja też myślę o ideach zamkniętych w kształcie. Telewizor ma ideę odtwarzania obrazu. Pianino taty, ideę harmonii dźwięku (z wyjątkiem Funi łączącej po klawiaturze). Funia też nosi w sobie ideę wszystkich Mociek. Ależ to były... Cholery? A, to te od idei zamkniętej w zarazkach! Młynek Misi ma ideę mielenia, radio ideę Marconiego, helikopter – Leonarda. Tato przy wódce opowiadał o idei deski klozetowej, którą wymyślili Irlandczycy, a w której rok później Anglicy wycięli otwór. A jaką ideę kryje w sobie sedes?

Wiem, co to czas! Obudziłem się spocony. To trudne, jak się siedzi w wodzie, a jednak... Ta żona esesmana, która przysłała na podwórko prababci po tym, jak jej mąż musiał zastrzelić psa, na którym Moćka wyjechała przy okazji wydrapując mu oczy, mówiła po polsku!

– Pani Szczodrak!” – tu prababcia umarła w Auschwitz z całą rodziną.

– Pani mnie zostawi jeden kotek od ta kocica. Koniecznie. – W kamienicy w Grodzisku Mazowieckim wszystkie firanki odetchnęły. Z ulgą! Czas to takie coś, co można przywołać z każdej kropelki, która w nas płynie. Tato mi nawet o tym nie opowiadał. To po prostu jest!

Tato dostał wścieku. To takie coś, co też jest, chociaż go nie ma i chodzi dokoła wklejonego w posadzkę heksagramu z oliwinów (tata układał!). Przeczytał jakiś regulamin o napisaniu „czegoś w nawiązaniu do rozdziałów, ale naznaczonego rysem autobiograficznym autora lub kogoś innego”. Znam na pamięć, bo prawie dziurę okrężną wydeptał, ucząc mnie przy tym wielu słów... spoza słownika poprawnej polszczyzny – znam! I jeszcze trochę po niemiecku!

– Ksero by sobie zamówili na A4, żeby było gdzie wstawki porobić! Mózgi im rozwodniło! – To w sumie nic złego, tato! Wiem, bo w tym siedzę!

Znowu dzwonił Francesco. Że też telefon mu zwarcie ucha nie urwie! Matka mnie prawie udusiła. Musiałem ją zdrowo kopnąć, żeby przerwała

tę chorą konwersację! Aż babcię przestraszyło. Dom w Toskanii nieaktualny. Żłobek też. „Co to będzie?” – babcia. „Co ma być? Przyjedzie ojciec, upije go, przyłoży mi, wezwie się policję i zrobi obdukcję!” O drogie panie! Macie świadka rozmowy. Przewącham to do Singla i niech powtórzy tacie. A na aborcję, mamusiu, to trochę za późno Francesco zadzwonił!

Nie zgadzam się z proboszczem. Nie tylko z „Prawieku”, ale innymi też. Tata nosi w sobie czas, gdy wynajmował mieszkanie w bloku. Zadzwonił domofon „Po kolendzie!”. Za trzecim razem tata usłyszał: „Księżda pan nie wpuści?” Tatę zatkało, ale odparł przytomnie: „A wie pan... Czasy takie, że księżda od złodzieja odróżnić trudno...” Więcej dzwonków nie było. Ten z „Prawieku” uważa, że rzeka to diabeł, w drodze którego trzeba stawiać zapory. I oczywiście się modlić. A ja widzę wodę od środka, jak otula tatę, gdy jeszcze małym chłopcem wypadł z łódki. Prostu na dno! Znikły wszystkie krzyki, śmiechy, pluski. Zrobiło się tak cicho i miękko, że jak go wyciągnął mój stryj – dziesięć lat starszy – to tata chciał z powrotem. Myślę, że wpadł wtedy na chwilę w strumień następnego czasu. W teraźniejszym nie utrzymuje kontaktu z rodzonym bratem od ponad dwudziestu lat. Woda ma w sobie wszystkie czasy świata. A nie jakiegoś diabła, proszę księżda proboszcza!

Mam siostrę. Mówi o sobie „Tita”, jak chce mi powiedzieć, że jest moją siostrzyczką. Ona też wiele pamięta. Wziąłem od niej Bahnschutzów (wielką literą po niemiecku!), których drugi pradziadek z towarzyszami z PPS ogłuszał przy torach, jak jechali lokomotywą z tenderem broni na pomoc walczącej Warszawie. To niedaleko. Rozwalili ich z działa, ale wszystkie wnuki o tym wiedzą. Czas!

Tata poznał Iwana Muktę. W „Prawieku” oczywiście. Radzieckich oficerów znam. Mam w sobie kropelki Hanny Fritz – taty ciotki. Jemu się wydaje, że nie pamięta, ale się myli. Hanna była pilotem RAF-u. Nie walczyła, tylko latała z zaopatrzeniem z głębi Anglii. W 1946 wróciła, mówiąc pozostającym, że żaden Bierut nie będzie jej zabraniał mieszkać w domu matki przy placu

Narutowicza. Przyjechała. Prosto na NKWD. Po godzinie spędzonej z oficerem za zamkniętymi drzwiami, wyszli. Oficer, pocałował ją w rękę, otworzył drzwi, a na pytanie starszyny: „Puskajecie jejo? Kak że, towariszcz kapitan?” rozejrzał się po pokoju i spokojnie odparł: „Ta Pani (Gaspaza!) ma większe jaja, niż wy wszyscy razem wzięci”. Tata długo siedział nad Muktą, smakując jego człowieczeństwo. Ale Ciotka Fritz przyśni mu się jeszcze dziś, nakazując, by zawsze, ale to zawsze oddzielał Rosjan od władzy radzieckiej. I każdej następnej władzy w Czasie! Ja już to wiem!

Tata jest ze mnie bardzo dumny. Wie (skąd, jeśli nie z kropli Czasu?), że będę do niego podobny, jak wszystkie dzieci w tej rodzinie. Powiedział to mamie. Mama nic nie powiedziała...

Tata doszedł do Lalki. Ona naprawdę była! Ale Olga (tak ma na imię Tokarczuk) nie ma racji, że psy nie połykają czasu, jak ludzie. Gównie prawda! – przyniósł Singiel... z lasu... od grzybiarzy! Płynie w nas ta sama woda, wycięta z oceanu pierwszą wakuolą. Singiel pamięta swego ojca, dzielnego psa, który sam żywił się w lesie. I nie boi się rysia, wylegującego na gałęzi nad ogrodem. Nawet na niego nie szczeka. Wie, że sobie pójdzie. Pamięta, jak mój tata przeganiał go, czym miał pod ręką z drogi, na której kładł się w strachu przed autami. Raz mało go nie ugryzł! I bardzo mu wstyd!

Jedziemy do szpitala. Mój czas w wodzie dobiega końca. Zaraz wpłynę w następny. A potem jeszcze następny – już go czuję. Sam będę zbierał dane w krople, które potem popłyną w innych. Mamusi nie chce się rodzić: „I tak mam bliźnię po Emmie!”. Wyjmują mnie. Słyszę tatę: „Moja mała miniaturka!”. I mamę: „O kurwa!”

– Trudno się z nią nie zgodzić.

Słyszę głos Czasu, który właśnie dla mnie otwiera trzecią, wcale nie ostatnią, furtkę. Ja też otwieram...

Pokryte wodą oczy...